

Wolframówna, Izabella

Moi pacjenci

Przegląd Pruszkowski nr 1, 52-59

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PAMIĘCI DR. IZABELLI WOLFRAM — EWANGELICZNEJ SAMARYTANKI

W dniu 17 lipca 2005 roku przypadła 50 rocznica śmierci niezapomnianej lekarki, której wspomnienie jest wciąż żywe w sercach mieszkańców Pruszkowa.

Przytaczamy poniżej fragment pamiętnika świadczący o tym, jak wielkiego formatu Człowiekiem była doktor Izabella.



Izabella Wolframówna

MOI PACJENCI

Nareszcie chwila wytchnienia. Można odpocząć i myślał przebiec miniony dzień. Siadam przy biurku i spoglądam w zamyśleniu na wiązankę żółtych róż. Widok świeżych pąków tyle daje radości! Jakby promień słońca wpadł do pokoju!

Przynieśli mi te kwiaty przed chwilą młodzi rodzice. Tłumaczyłam im, że przecież jako lekarz spełniłam tylko swój obowiązek. Ale oni tak się cieszą, że dziecko szczęśliwie przyszło na świat, a matka tak szybko odzyskała zdrowie, że muszą, koniecznie muszą dać wyraz tej radości i wdzięczności. Te same uczucia przepelniają i moje serce. I w tej chwili. I zawsze. Odczuwam wraz z matką żywiolową radość,

która towarzyszy przyjsciu na swiat dziecięcia. Przezywam z nią smutki i troski, trudy i bóle, które pierzchają wszystkie z chwilą, gdy zakwili niemowlę. A nad wszystkimi uczuciami góruje wdzięczność dla Stwórcy, który powołał mnie do pomocniczej służby w wielkim dziele pomnażania życia.

Mimo woli przychodzi mi na myśl pacjentka, którą przyjąłem dziś rano w Ośrodku. Niepokoję się, bo nie wiem, czy jest w szpitalu, czy może już urodziła, i czy aby wszystko poszło szczęśliwie? Biedactwo! Pierwsze dziecko przyszło na świat nieżywe, drugie – wątłe, nie uchwaloło się. Wydała je na świat tak ciężko, że omal tego życiem nie przyplaciła, a teraz znowu czeka ją ciężka operacja, więc jakby się usprawiedliwiała przede mną, że się zdecydowała jeszcze i na tę trzecią próbę, ale tak bardzo kocha i tak gorąco pragnie mieć dzieci, dużo, jak najwięcej dzieci, że przyjąłaby bez wahania każdy ból, każde cierpienie, byle tylko zostać matką, bo wie z własnego doświadczenia, że smutne jest małżeństwo bezdzietne. Mówiła to wszystko głosem cichym, zmęczonym, ot tak, po prostu i zwyczajnie, zupełnie nieświadoma własnego bohaterstwa i mego milczącego podziwu. Staralam się dodać jej otuchy i nadziei, że wszystko będzie dobrze. Wyszła ode mnie pokrzepiona. Dziękując mi miała łzy w oczach, spokój i pogodę w twarzy.

Skupiłam się na chwilę w krótkiej modlitwie, by Bóg błogosławił temu mającemu przyjść na świat maleństwu. I nie mogę się oprzeć pragnieniu, żeby każda kobieta pojmowała tak głęboko, czym jest macierzyństwo, jaka to wielka łaska i jak zaszczytne powołanie.

Niestety, jakże wiele spośród nich nie zdaje sobie z tego zupełnie sprawy. Ot, choćby ta piętnastoletnia dziewczyna, która była u mnie dziś rano. Ledwo objęłam ją spojrzeniem – wiedziałam już wszystko. Żywe ruchy zdradzały nerwowość, ostra zmarszczka na czole nadała temu dziecku wyraz zaciętości i uporu. Nie omyliłam się. Była w ciąży, której chciała się pozbyć. Po godzinnej rozmowie wyszła niby przekonana, ale czy naprawdę, czy nie okłamywała mnie? Trudna sprawa z takimi; to jedna z tych, które „kręcą”, w których instynktownie wyczuwa się brak prawdziwej szczerości. Niby przyznała się

do wszystkiego, ale opowiadała przy tym jakieś dziwne, najprawdopodobniej zmyślane historie. Kiedy słuchałam jej kłamliwych, wykrętnych odpowiedzi, litość walczyła we mnie z odrazą. Teraz wracam myślą do naszej rozmowy i niepokoję się, czy dałam jej z siebie to, co dać mogłam, czy naprawdę zrobiłam wszystko, by trafić do jej sumienia, obudzić w niej pragnienie innego życia i uratować to nowe, tak nieszczęśliwie poczęte życie, a razem z nim i ją samą – to drugie dziecko – matkę. Bo widzę jak mocno, jak nierozzerwalnie są związane ze sobą oba te istnienia; bo wiem i czuję, że popełnienie zbrodni byłoby dla matki w tym wypadku nie tylko jednorazowym grzechem śmiertelnym, z którego mogłaby się kiedyś dźwignąć, za który mogłaby odpokutować, lecz równałoby się całkowitej zagładzie, zatraceniu, podczas gdy odwrotnie, w wydaniu na świat dziecka przez ból i cierpienie kryje się dla niej ratunek. Tak, nie mylę się. Cierpienie, jakie ją czeka, jeśli tylko zostanie przez nią przyjęte, pozwoli jej odpokutować i odkupić popełnioną winę, zrozumieć choć w drobnym ułamku, czym jest powołanie do macierzyństwa. Duma matki pomoże jej odzyskać szacunek dla samej siebie i podniesie z upadku, w którym bez tego oczyszczenia coraz głębiej będzie się pograżać. Radość macierzyństwa przywróci radość i godność jej smutnemu dotychczas życiu i wskaże jedyną jego wartość.

Odeszła... a teraz gonię za nią myślami i troską serdeczną, nie wiedząc, gdzie jej szukać, jak pomóc. Rola moja jest niestety tak ograniczona. Nie wiem, czy coś z moich słów przeniknęło do tej duszy w uśpieniu, do tego serca w odrętwieniu! Czy argumenty moje rzeczywiście ją przekonały, czy nie szukała już nigdzie innej rady i „pomocy”?

Czy ziarno rzucone moją ręką zakiełkuje, czy też obumrze, padłszy na kamienistą opokę – Bogu to jednemu wiadomo. Jego łaska, dla której nie istnieją żadne niepodobieństwa, może sprawić i ten cud. Jego miłosierdziu też ją polecam.

Na szczęście nie zawsze i nie z każdym jest tak ciężko. Na pewno nie uczyni nic złego kobieta, której sylwetka z taką wyrazistością staje mi przed oczami. Starsza już, siwiejąca, z wyrazem zmęczenia na

szczupłej, bladej twarzy. Przyszła do mnie ze zmartwieniem, zdaje się jej, że jest w ciąży – chciałaby się jej pozbyć. Ma przecież 45 lat, nie przypuszczała nigdy, że mogłaby jeszcze mieć dziecko. Teraz jej wstyd... nawet mężowi boi się przyznać, nie śmie nawet pomyśleć o dzieciach... Córki dorosłe śmiać się z niej będą...

– Taki wstyd, taki wstyd! – powtarza bezradnie.

– Jaki wstyd? – przerywam łagodnie. – Tylko źle robić to wstyd i tylko jednej rzeczy należy się wstydzić – grzechu.

Kobieta patrzy na mnie chwilę zdumiona, zaskoczona... uradowana, po czym twarz jej się rozjaśnia, jakby na nią promień słońca padł.

– Wie pani – mówi zmienionym tonem, poufnie, jakby się zwierzając – ja bym się nawet cieszyła, tak, tak, na pewno, nawet chciałabym mieć to dziecko... ale mąż... dzieci... przy tym w domu ciężko, ledwo koniec z końcem się wiąże, a tu taki nieprzewidziany wydatek...

Staram się obudzić w niej wiarę, natchnąć ufnością. Przecież to nie są puste słowa tylko, że kiedy Bóg daje dziecko – to daje i na dziecko. Wiem doskonale z własnej bogatej obserwacji życiowej, że tak jest naprawdę, że kiedy Bóg nakłada większe obowiązki, to i pomoc większą daje. Błogosławieństwo Jego zjednują sobie ci, którzy umieją się poddać Jego świętej woli, którzy się jej nie przeciwstawiają. Różnie się przejawia w życiu to błogosławieństwo i ta pomoc Boża. Czasem trafia się lepsze zajęcie, wyższa płaca, poprawiają się warunki mieszkaniowe, często mąż pijak pić przestaje, w skłóconym domu nastaje zgoda, wraca spokój, harmonia i dobrobyt. Jakże ciężko było w czasie wojny, a jak wiele kobiet znalazło w sobie dość sił, by się nie cofnąć przed spełnieniem zadania, by obowiązek wykonać aż do granic zupełnego zapomnienia o sobie, aż do bohaterstwa.

– Po powstaniu – opowiadam słuchającej mnie w milczeniu – zgłosiła się do szpitala ranna kobieta w ciąży. Wszystkie względy ludzkie nakłaniały ją do pozbycia się ciężaru, który istotnie wydawał się nad siły. Chciała tego. Była chora, zdana na samą siebie. Męża jej zabrali Niemcy, musiała pracować ciężko na utrzymanie dwóch małych córeczek. Przyjście na świat trzeciego dziecka wydawało się

w tych warunkach bezprzykładnym szaleństwem. A jednak dała się przekonać do przyjęcia go. I znowu wbrew ludzkim przewidywaniom nie tylko donosiła je, ale i urodziła szczęśliwie. W dwa lata później przyszła do mnie, dziękując gorąco, że ją odwiodłam od złego zamiaru. Dobrzy ludzie pomogli jej w wyszukaniu odpowiedniego zajęcia, otaczali opieką dzieci. Wkrótce i mąż wrócił szczęśliwie z obozu, a radość jego powrotu powiększył jeszcze widok synka, którego zastał w domu.

Słuchając mnie kobieta uśmiecha się z zadowoleniem. Tego jej właśnie było potrzeba: dobrego, krzepiącego słowa, serdecznego poparcia i podtrzymania. Wiem, że ta już nie zejdzie z drogi obowiązku, że znajdzie w sobie dość siły, by się oprzeć pokusom, nawet jeśli powrócą.

Chciałabym znać przyszłe losy wszystkich kobiet, które przewinęły się przez mój gabinet lekarski. Najczęściej jednak odchodzą – i nie wiem, jakie są ich dalsze dzieje. Czasem życie uchyla rąbka tajemnicy. I to stanowi jeden z największych uroków mojej pracy, najhojniejszą zapłatę za trudy.

Nie dalej jak dzisiaj, na drodze do Ubezpieczalni ktoś wita mnie głośno i serdecznie. To szczęśliwy tatuś popycha wózek z kilkumiesięcznym bobasem. Znamy się dobrze... choć początki naszej znajomości mniej były radosne. Pamiętam dobrze tę chwilę. Był szary, dżdżysty dzień jesienny, kiedy przyszła do mnie po raz pierwszy. Młoda, ładna, zdrowa kobieta. Mężatka. Była w ciąży i chciała się jej pozbyć. Z rozmowy wywnioskowałam, że ona sama może by się jeszcze zgodziła na dziecko, ale mąż za nic nie chce o tym słyszeć.

– Niech pani przyśle męża do mnie – zdecydowałam po dłuższej rozmowie – resztę załatwię już z nim.

Przyszedł i porozmawialiśmy. W kilka miesięcy później zjawił się ponownie u mnie, ale tym razem już w innej misji: poprosił mnie na matkę chrzestną.

Patrzę teraz na mojego Czesia i cieszę się, że taki jest miły i wesołutki, że tak się uśmiecha do tatusia, a tatuś do niego i... że nic nie

wie, ile to ciężkich chmur gromadziło się nad jego nieświadomym istnieniem, zanim się przerodziło w takie jasne, pogodne dzieciństwo.

Szczęśliwy ojciec, którego Bóg ustrzegł od przeprowadzenia woli stającej w poprzek odwiecznego prawa.

Różne są drogi Boże, różnymi też sposobami stara się Bóg trafić do duszy ludzkiej. Czasem jakiś drobiazg, jakiś nic nie znaczący na pozór szczegół, jak się to potocznie mówi „przypadek” wstrząśnie człowiekiem do głębi i obudzi uśpione sumienie. Opowiadała mi kiedyś jedna z moich pacjentek, która pozostała głucha na wszystkie moje namowy i rady, w jaki sposób dokonała się w niej przemiana i to przemiana zasadnicza.

Działo się to w okresie Bożego Narodzenia. Miała właśnie wyjść z domu na umówiony zabieg, gdy do pokoju wbiegła malutka córeczka, śpiewając piosenkę o okrutnym Herodzie, co zabijał niemowlęta. W matce coś drgnęło, zawahała się, zdjęła okrycie, ale po namyśle ubrała się znowu i już szła do drzwi, gdy mała wbiegła powtórnie z tą samą śpiewką na ustach. Matka nie wytrzymała tej nowej próby. Uległa... Została... Wyrzekła się swoich zamierzeń... Pogodziła się z losem, widząc w nim wolę Bożą. Urodziła dziecko, które w krótkim czasie stało się ulubienicą całego domu.

Może kiedyś, kiedyś, po latach, gdy małeństwo, które teraz ledwo zaczyna chodzić, dorośnie – dowie się od matki, komu zawdzięcza swe ocalenie. I może przykład matki jej samej posłuży za przestrożę i naukę.

Różne i niezbadane są wyroki Boże. Budzi się we mnie żal za malutką Marysią, Za nic jej matka nie chciała, ale że nikt nie chciał się podjąć usunięcia płodu, więc przyszła na świat dziewczynka i jakby na przekór tym, którzy jej odmawiali prawa do życia, była żywa i miłutka, prawdziwy promyczek słońca. Rodzina jednak nie umiała docenić swego szczęścia. Warunki życia były zbyt ciężkie dla dziecka. Zbyt wiele myślano o pozbyciu się go, by się zdołano odpowiednio przygotować na jego przyjęcie. Umarła wkrótce po przyjściu na świat. Dopiero śmierć dziecka przeorała matkę do głębi. Dręczy ją sumienie.

Uważa, że Bóg zabrał jej dziecko za karę, że go zrazu nie chciała przyjąć, a i potem nie umiała należycie ocenić wielkiego daru, jaki Bóg w jej ręce złożył, daru nowego, poczętego z niej życia. Ale... najserdeczniejsza skrucha i najgorętsze łzy nie przywrócą już życia umarłemu dziecku.

Nie dosyć jest dziecko urodzić, trzeba mu stworzyć odpowiednie warunki do życia nawet za cenę największych ofiar ze siebie. Trzeba je kochać i chować – umieć kochać i umieć chować.

Na szczęście obok występnych matek, które pozbywają się zawczasu płodu, lub które urodziwszy dziecko nie myślą o jego prawach, nie dbają o zaspokojenie najbardziej zasadniczych potrzeb, są jeszcze inne, pełne poświęcenia, bohaterskie i święte. I jest ich wiele. Na szczęście nie brak też ludzi, których dusza jest tak czuła na ojcostwo, że nie tylko chowają własne dzieci, ale zawsze są gotowi przygarnąć cudze, gdy zajdzie potrzeba. Znam małżeństwo niezamożne, w ciężkim trudzie i pracy koniec z końcem wiążące, które mając siedmioro własnych dzieci, wzięło jeszcze na wychowanie ósme – znalezione pod murem podrzutka.

Wydanie na świat dziecka, z chwilą gdy nie można inaczej, nie czyni jeszcze matki, lecz kochać je i pielęgnować jak duszę własnej duszy to jest dopiero prawdziwe macierzyństwo.

Prócz ojcostwa naturalnego jest jeszcze inne, może nawet głębiej przeżyte i odczute – bo świadome i dobrowolne – ojcostwo i macierzyństwo duchowe.

We wspomnieniach moich przesuwają się całe szeregi dzieci za moim pośrednictwem uratowane od zagłady – moich dzieci duchowych.

Z zamyślenia wrywa mnie ostry dzwonek. Na pewno do mnie. Albo nowy obywatel ma trudności z przyjściem na świat i będę się musiała porządnie nabiedzić i namęczyć, by z pomocą Bożą mógł ujrzeć światło dzienne, albo też pospieszył się zbyt z przyjściem i teraz matka potrzebuje mojej pomocy... a może jakieś kłopoty młodej mamusi? Tak czy inaczej – jestem potrzebna. Jestem gotowa. Idę.

„Królowa Apostolów”, nr 1 – 2 (styczeń – luty) 1951 r.



Pogrzeb dr Izabelli

